

Wojciech Gołabowski

Studenckie czasy

Bylem tu pierwszy raz, lecz ze znalezieniem kwatery nie miałem żadnego problemu. Miasto "uniwersyteckie", więc i ogłoszeń o pokojach dla studentów było sporo. Udało mi się odnajść całe piętérko domku, nieco na uboczu rynku. Nie mając wielu bagaży wprowadziłem się szybko i równie prędko poczułem się swobodnie. Dopiero wieczorem zrozumiałem, dlaczego - przy tak atrakcyjnym położeniu kwatery - cena nie była zbyt wysoka. Parter okazał się siedliskiem miejscowych męt, odstraszaających swym towarzystwem wszystkich potencjalnych lokatorów. Mi to jednak - dziwnym trafem - było na rękę.

Zajęcia zaczęły się już następnego dnia. Było oczywiście przywitanie nowych studentów, bla bla, bla bla, życzenia sukcesów w nauce, bla bla, bla bla i do roboty. Pierwszy oficjalny przedmiot - "Historia magii". Pierwszy nieoficjalny: "Drobne sztuczki".

Kwaterunkowe mieszkanie i problemy z nim związane pozwoliły mi szybciej i sprawniej opanować początkowy materiał nauki; w odróżnieniu od większości grupy - mieszkającej w akademiku - miałem możliwość swobodnego praktykowania uzyskanej wiedzy. Na pierwszy ogień poszło okno - uszczelnione najprostszym polem ochronnym, chroniącym przed hałasami z ulicy i zacinającym deszczem. Następnymi krokami było załatwienie dachu, wzmocnienie podłogi (strasznie skrzypiała) i udrożnienie kanalizacji. Po miesiącu można już było czuć się niemal luksusowo.

Niemal.

Towarzystwo z dołu stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Ale i na nie miała przyjść kolej.

Egzaminy pierwszego semestru zdałem z wyróżnieniem, uzyskując miano prymusa i niemałe stypendium. W tym czasie wykształciła się kilkusobowa grupka przyjaciół, toteż - gdy tylko zaczęły się zajęcia z widm i halucynacji - na ćwiczenia spraszałem wszystkich do siebie. Zaproszenia były gorąco przyjmowane, bo primo akademik obłożony był zaklęciem blokującym, secundo - w to, co później opowiadali na mieście moi niechciani współlokatorzy i tak nikt nie wierzył.

Zaczęliśmy od słonia. Kształt każdy łatwo kojarzył, a z kolorem szarym nie było większego problemu. Bezgłośnie stąpający po parterze zwierz nie wywołał jednak zamierzonego efektu. Spróbowaliśmy tedy czego innego - ale stado białych myszek zostało przywitane jak starzy znajomi.

Z pomocą przyszły zajęcia z omamów słuchowych. Bezustanny stukot kapiącej do pustego wiadra wody bardziej jednak denerwował nas niż intruzów. Nie pomógł nawet huczący szum wodospadu ani świszczący wiatr. Nasi goście byli nieugięci.

Tymczasem życie towarzyskie naszej grupki kwitło. Miesiące, ba, tygodnie bez imprezy stawały się rzadkością. A imprezy... hmm... Sami wiecie.

Mówią, że w naszym fachu związki międzypłciowe są rzadkością. Bajki jakoweś. Przyjdźcie na imprezę, sami zobaczycie. Maćka do Magdy przyciągnęło już na początku,

Sebastian z Moniką znali się już chyba wcześniej, Tomek, Kasia i Justyna woleli chyba samotność.

I była jeszcze Ola.

Co wam będę ją opisywał - była z niej niezła wiedźma. Talentu miała co niemiara, ochoty do nauki i roboty sporo, do tego nie wspomagana magią uroda... Dobrze nam było ze sobą.

Do czasu.

A ściślej, do tygodnia, który zaczął się jedną z lepszych imprez - oczywiście w mojej kwaterze. Było to po zdanim egzaminie, wszyscy mieli niezłe humory. No - prawie wszyscy; nasi sąsiedzi z dołu chyba byli już nieco zmęczeni ciągłymi atakami istot nie z tej ziemi.

Przystąpiliśmy do konfrontacji. Najpierw przez sufit zjechało na skrzypiących lianach kilka świecących oczami orangutanów. Dołączyło do nich stadko zebr, trochę podkolorowanych - na czerwono i niebiesko. Kiedy opadły z nich skóry a kości rozsypały się w proch, zza ściany wyszła czarna procesja. Czaszki użyte jako kadzielnice nuciły żałobne pieśni. Kroplą, która przepeliła czarę, był szturm armii szczurów ucharakteryzowanych na piratów. Przy dźwiękach werbli i opętańczym wyciu reszta meliniarzy uciekła z budynku. Dom był nasz.

Kilka dni później zjawiała się właścicielka kamienicy wraz z kilkoma ochroniarzami - ani chybi coś musiało dojść jej uszu. Gdy ujrzała odnowiony naprędce parter i cudownie wyremontowane pięterko, zachwytem nie było końca.

I natychmiast podniosła czynsz.

Trochę się tym zdenerwowałem, co zaowocowało pojawieniem się olbrzymiego, włochatego pająka tuż nad jej głową. Skąd miałem wiedzieć, że babsko chorowało na serce?

Ola powiedziała mi kilka słów, ja nie pozostałem jej dłużny. Całe szczęście, że przyjaciele powstrzymali nas od użycia przeciw sobie nabytej wiedzy.

Następnego dnia nie zjawiała się na zajęciach. Ani dzień później. Nikt nie wiedział, co się z nią działo. Wybrałem się do akademika, ale jej pokój był zamknięty. Jako że pozycja prymusa dawała pewne przywileje - takie, jak immunitet od blokady domu studenckiego - mogłem się upewnić co do pustości pomieszczenia. Zniknęły wszystkie rzeczy Oli.

Przeszedłem niemal cały akademik, ale ani Tomek w swym wiecznie zagraconym pokoiku, ani Maciek z Magdą na herbacie, ani Sebastian u Moniki w łóżku nic nie wiedzieli.

Korzystając z okazji, Kasia z Justyną poprosiły o wyproszenie z ich kwatery kilku myszy piszczących w kącie. I to one bąknęły coś o Oli wyjeżdżającej do ciotki na prywatną naukę zawodu. Ale przecież wiedziałem, jakie z nich plotkarki...

Myszy na widok kilku wygłodniałych kocurów rzuciły się do ucieczki. Wpierw pod łóżko. Potem pod szafę. I do norki. Kiedy jednak z ich własnej posiadłości dobiegł odgłos głodnego miauknięcia, wybiegły na korytarz.

Większość drzwi była otwarta, studenci wyszli obejrzeć to widowisko. Myszy nie zdecydowały się jednak na ucieczkę w tę stronę - pomiędzy ludzkimi nogami pojawiały się coraz to nowe kocie pyszczki. Wreszcie ich droga się skończyła - po sztucznie podwyższonym korytarzu wyskoczyły przez okno.

Rozległy się brawa, na co koty (kilkadziesiąt lśniących futerek) miauknęło wdzięcznie, stając na zadnich łapkach i kłaniając się w pas.

Nagle wszystkie koty zniknęły.

Stałem przed otwartym pokojem Tomka, dostrzegając pośród różnorakich pak i skrzyń spakowany plecak Oli. A obok jego właścicielkę, szepczącą coś o odjeżdżającym za chwilę pociągu. Zauważyłem też kilka toreb Oli w rękach Tomasza. I ich głupie miny na mój widok.

Bez słowa odwróciłem się i odszedłem.

Na pożegnanie pstryknąłem palcami.

Wróciłem do swego zaplombowanego przez policję domku, wchodząc prawdziwymi - a nie wyczarowanymi dla potrzeb ciekawskich - wejściem. Porozmawiałem z duchami, nieco inaczej ustawiłem meble. Nudziłem się, nie mając ujścia dla obeszwałniających nagle uczuć.

Następnego dnia Ola zjawiała się na zajęciach. Jednak cała grupa trzymała się ode mnie z daleka, spoglądając spode łba i coś mamrocząc. Nie słuchałem.

Wieczorem Ola zastukała do drzwi, prosząc o pomoc w posprzątaniu kwatery Tomka - grupa nie miała już sił...

Skończyliśmy rozmowę nad ranem. Nie pojechała do ciotki - pociąg jej uciekł, nie doszukała się wszystkich swoich drobiazgów czy zmieniła plany - któż to wie?

A w Halloween bierzemy ślub.

Przyjdziecie?

Będzie taaaaaaka impreza.